

# Henryk Nowogródzki

---

## Impresje bardzo warszawskie

---

Palestra 21/1(229), 113-120

---

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Od 1956 r. kol. Ołomucki wraz z gronem kilku innych adwokatów zabiegał o wznowienie działalności „Palestry” jako organu adwokatury polskiej. Ich energia, zapał i ambicja dała pozytywne rezultaty. „Palestra” zaczęła się ukazywać od marca 1957 r. Kol. Ołomucki należał do Komitetu Redakcyjnego „Palestry” do 1959 r. jako sekretarz, a następnie do 1965 r. jako członek Komitetu.

Kol. Ołomucki zachęcał, zwłaszcza młodych adwokatów, do pracy nad historią adwokatury polskiej. Widocznym tego przejawem było utworzenie z własnych funduszy specjalnego daru, z którego NRA wypłaca corocznie nagrodę w kwocie 5.000 zł autorowi najlepszego opracowania z zakresu historii adwokatury.

Jako obrońca w sprawach karnych przejmował się losem swoich klientów. Uważał, i słusznie, że u podstaw prawie każdej sprawy karnej leży jakiś problem społeczny, który widzieć powinien nie tylko sędzia i prokurator, ale również obrońca, bo znajomość tego problemu może i powinna służyć właściwej obronie.

Nie uznawał spraw z punktu widzenia obrony beznadziejnych. W czynach bowiem ludzkich, nawet takich, które budzą powszechne potępienie, potrafił znaleźć i wydobyć na światło dzienne okoliczności wprawdzie nie usprawiedliwiające karalnego czynu człowieka, ale pozwalające zrozumieć go z czysto ludzkich motywów postępowania. A to już jest wiele. Czasem te poszukiwania prowadziły do ujawnienia przyłoczonego ogromem odpowiedzialności i najczęściej niewidocznego zwykłego ludzkiego nieszczęścia, ludzkiej tragedii. Kol. Ołomucki czynił to z pasją, odwagą i dużym wkładem uczucia. Był bowiem nie tylko adwokatem o dużej wiedzy i talencie, ale również człowiekiem czującym na ludzką niedolę. Takim był i takim pozostanie w naszej pamięci.

Zmarł dnia 18.XI.1976 r. w Warszawie. Jego życzeniem było, żeby pogrzeb był skromny i cichy oraz żeby nawet zawiadomienie prasowe o jego śmierci ukazało się dopiero po jego pogrzebie. W pozostawionym testamencie znalazły się zapisy na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie i budowę Centrum Zdrowia Dziecka oraz zapisy na rzecz Rady Adwokackiej w Warszawie i różnych instytucji dobroczynnych.

*Zygmunt Skoczek*

## **MIĘDZY NAMI**

HENRYK NOWOGRÓDZKI

## **Impresje bardzo warszawskie**

Mam napisać do warszawskiego numeru „Palestry”. To dla mnie wielka radość. W Warszawie się urodziłem, tutaj spędziłem dzieciństwo, młodość, dojrzałość, a teraz płynie — nazywany tak delikatnie i elegancko — trzeci wiek. Tutaj w Warszawie chodziłem do szkoły, na Uniwersytet, tu odbywałem aplikację sądową i adwokacką, w Warszawie też zostałem i jestem do dziś adwokatem. Całe moje życie

jest splecione z Warszawą i adwokaturą. Wszystkie złe i dobre dni. Był też i taki dzień:

### Wisła

Wisła skuta lodem. Jest druga połowa stycznia 1945 r. Przez Wisłę, po lodzie, przeprowiam się na praski brzeg. Jestem po ciężkich przejściach wojny i okupacji, po ciężkich przejściach więźnia hitlerowskiego obozu, po upadku powstania warszawskiego, jestem w pierwszych dniach wolności.

Wisła skuta lodem. Gdy się tak przeprowiam na opuchniętych nogach, spotykam kolegę: mecenasa Tomasza Bartzaka. Poznaje mnie. Serdeczne powitanie, gorące koleżeńskie powitanie sprawia, że lód nie wydaje się ostry i mroźny. Dla mnie to, że mnie poznał, ma znaczenie szczególne. Jestem więc sobą. Minione lata nie starły więc z mego oblicza mnie samego. Idziemy razem z kolegą Tomaszem na praski brzeg.

Zaledwie przed kilkoma dniami miałem w ruinach Warszawy pierwsze spotkanie z dawnością, koleżeństwem, przeszłością, konturami jeszcze aplikanckich czasów. Po upadku powstania warszawskiego nie opuszczałem ginącego miasta. Żyłem przez 100 dni wśród płonących gruzów. Jednym z moich schronów, jedną z kryjówek były piwnice domu, w którym mieszkała mecenas Helena Wiewiórska, pierwsza w Polsce kobieta-adwokat.

Dom Wiewiórskich w czasie okupacji i dniach powstania był azylem prześladowanych, potrzebujących pomocy i przychodzących prosto z barykady na chwilę odpoczynku i po łyżkę strawy. Znalazło się i dla mnie miejsce przy tym stole. Obok mecenas Heleny Wiewiórskiej nosiła wszystkim potrzebującym swoją troskę i serdeczność dawna aplikantka pierwszej damy polskiej adwokatury — mecenas Halina Więckowska.

Bomba hitlerowska strzaskała dom Wiewiórskich na ulicy Hożej, pozostały piwnice, które stały się właśnie po upadku powstania moim schronieniem.

Zanim uchodźcy opuścili miasto, znosiłem razem z panią Heleną i jej mężem Jerzym Wiewiórskim do tej piwnicy cenne pamiątki. Były to pamiątki rodzinne, adwokackie i z działalności dziennikarskiej Jerzego Wiewiórskiego. W piwnicy ocalał portret mecenas Heleny Wiewiórskiej, który dzisiaj zdobi salę kominkową w lokalu naszej Warszawskiej Rady Adwokackiej.

Opuściłem ten schron 17 stycznia 1945 roku, w dniu wyzwolenia Warszawy. Idę w stronę placu Trzech Krzyży. Napotykam niewielki oddział Wojska Polskiego. Na czele oddziału, na koniu — oficer. Kopyta końskie uderzają o poszarpany, zorany bruk. Poły oficerskiego płaszcza opadają na boki zmęczonego konia. Podchodzę bliżej. To są pierwsi polscy żołnierze, których widzę po latach. Widzę ich w pierwszych chwilach wolności i bezpieczeństwa. Przez tyle lat chodziłem ze śmiercią pod rękę, za pan brat.

I oto oficer pochyla się nad końską grzywą, wpatruje się we mnie i mówi: „Czy to kolega Nowogródzki?”

A więc naprawdę pozostałem sobą. Poznał mnie na tym nieoczekiwanym spotkaniu przedwojenny kolega, aplikant adwokacki Kielski.

Nigdy nie zapomnieliśmy tego spotkania. Kielski został prokuratorem, ja powróciłem do adwokatury. Stawaliśmy na sali sądowej przeciwko sobie i zawsze tamto spotkanie z pierwszym polskim oficerem pozostawało żywe, plastyczne, zarysowane w ostrych konturach.

6 września 1939 r.

Ostatni raz byłem w todze 6 września 1939 roku. Młyn sprawiedliwości jeszcze obracał coraz bardziej bezsilnymi skrzydłami. W tym dniu stawałem przed Sądem Okręgowym w pałacu Paca na Miodowej. Bronilem jakiegoś Cygana oskarżonego o kradzież. Sąd rozpoznawał sprawę w parterowej sali nr 2 i raz po raz schodziliśmy do schronu, gdy tylko syreny ogłaszały „alarm dla miasta stołecznego Warszawy”. Syreny wyły, a sędziowie, prokuratorzy, adwokaci, protokolanci i oskarżeni wraz z konwojującymi policjantami schodzili do przeciwlotniczego schronu piwnicznego.

Oczekiwano na ogłoszenie amnestii. Była taka ustawa z datą 2 września 1939 r., ale Dziennik Ustaw nie dotarł jeszcze do sądu. Sędziowie łączyli się telefonicznie z redakcją Dziennika, aby uzyskać w tej kwestii jakieś informacje.

Odwołanie alarnu. Wracamy na salę rozpraw. Cygan, którego bronię, z mocy sądowego wyroku odzyskuje wolność. Gorzką wolność września 1939 roku.

Jeszcze tego samego dnia — po południu — zjawiła się u mnie ostatnia klientka. Jej mąż, sklepikarz, odmówił przyjęcia złotówek za sprzedawane produkty. Został zaaresztowany. Miałem nazajutrz pójść w tej sprawie do prokuratury. Otrzymałem nawet jakieś honorarium... w złotówkach, których tamten przyjmować nie chciał. Ale następnego dnia już w prokuraturze nie byłem. 6 września w nocy, na znany rozkaz płka Umiastowskiego, opuszczałem Warszawę. Nie zdążyłem oddać otrzymanego honorarium.

Miał rację Leon Berenson, wielkiego formatu mecenas, który honoraria, niezbyt często zresztą otrzymywane, trzymał w aktach aż do zakończenia rozprawy. Takie były niektórych warszawskich palestrantów obyczaje.

16 września 1939 r. i dni następne

A więc na rozkaz płka Umiastowskiego idę na wschód. Tę polską drogę opisał już tyle znakomitych piór, że mój opis nie jest tu potrzebny.

16 września w Równem spotykam mecenasa Franciszka Paschalskiego. Organizował Komitet Obywatelski. Chce działać, chce być czynny w tych niezwykłych dniach naszej dziejowej drogi. Umawia się ze mną na dzień następny, przydzielili mi stosowną pracę. Moja karta mobilizacyjna określa obowiązek stawiennictwa w jednostce na ... 11 dzień od chwili ogłoszenia mobilizacji. Jest już dzień 16, nie mam swojej jednostki, nie mogę dotrzeć do żadnej. Nazajutrz nie ma też mecenasa Franciszka Paschalskiego. Pozostawił wiadomość na bramie domu, w którym mieliśmy się spotkać, że trzeba ruszać w dalszą drogę. Więcej go już nie widziałem.

W Łucku kilka dni odpoczynku w domu mecenasa Gliklicha-Martynowskiego. Serdeczna opieka. Zjawia się też warszawski kolega, mecenas Marian Wagner.

I znowu dalsza droga.

We Lwowie tworzy się Społeczny Komitet Pomocy Uchodźcom. Na jego czele stoi warszawski adwokat Gustaw Beylin z żoną, znaną warszawską aktorką Aleksandrą Leszczyńską. Aleksandra Leszczyńska jest spowinowacona z rodziną dziekana Leona Nowodworskiego, ojca koleżanki Hanny Nowodworskiej-Grohman.

Mecenas Gustaw Beylin, świetny obrońca karny, także literat, był człowiekiem światowym, postacią barwną i kolorową. Gdy w Paryżu toczył się głośny proces znanej aktorki Umińskiej, oskarżonej o to, że aby skrócić cierpienia nieuleczalnie chorego literata i pisarza Jana Żyznowskiego, dopomogła mu — jak to się dzisiaj

mówi — w godnym spotkaniu śmierci, mecenas Gustaw Beylin pojechał nad Sekwanę, aby paryskiemu koledze przekazać znane mu niuanse psychiki oskarżonej, jej delikatność uczuć, jej prawdziwą miłość, która nie mogła znieść cierpienia ukochanego człowieka. obrońcą był znany adwokat paryski Morro Giafferi.

Beylin, światowiec, ale przede wszystkim zawsze obrońca, ukazywał się w „Szopce Palestranckiej”, której głównym autorem był mecenas Jan Dąbrowski, obrońca we wszystkich niemal procesach komunistycznych, a ilustratorem — znany karykaturzysta Jotes (Jerzy Szwejcer). Wypowiadał taki oto wierszyk (może pamiętam niezbyt dokładnie).

*Paris, Roma, Berlin,  
Dites moi, dans le monde  
parle-t-on de Beylin.*

W Społecznym Komitecie Pomocy Gustaw Beylin był żarliwym społecznikiem. Wraz z p. Aleksandrą Leszczyńską dwoił się i troił w trudzie dla uchodźców. Nie poprzestawał zresztą na pracy organizatorskiej i zza biurka. Dźwigał też ciężkie worki z mąką. Dzielono chleb, rozdawano produkty i odzież.

Jeszcze po wojnie u pewnego bukinisty, sprzedającego książki na Marszałkowskiej na ustawionej skrzyni, takiej prowizorycznej ladzie, dostrzegłem „Szopkę Palestrancką”. Ale zniknęła z moich regałów. Mam nawet określone podejrzenie. Czy mam wskazać podejrzanego?

Ośmielam się to zrobić. Kieruję je przeciwko mecenasowi Mieczysławowi Maślance, ale cóż znaczy takie podejrzenie, gdy obowiązuje nas zasada domniemania niewinności. Od dawna nastąpiło już przedawnienie ścigania, a są też podstawy do „potrącenia” na zasadzie wzajemności.

11 listopada 1939 roku

W Społecznym Komitecie Pomocy Uchodźcom dowiaduję się, że w Warszawie jestem uznany za zmarłego. Na tablicy w Radzie Adwokackiej wywieszono listę poległych i zmarłych adwokatów. Znalazło się tam i moje nazwisko z adnotacją: „zginął po opuszczeniu Warszawy”. Podobno ktoś na naszej polskiej wrzeźnionej drodze widział, że zginąłem od bomby. Byłem rzeczywiście blisko jej rozpryskujących się odłamków.

W Warszawie pozostawiłem starych rodziców, postanowiłem więc wracać.

Mieszkałem w Alejach Jerozolimskich pod numerem 37, w domu ówczesnie sąsiadującym z Hotelem „Polonia”. Front kamienicy jest strzaskany, ale moje mieszkanie w oficynie ocalało. Przenieśli się do niego mieszkający do chwili zburzenia domu dwaj koledzy: mecenas Adam Grabiński i jego brat, wówczas sędzia grodzki, a po wojnie adwokat, Mieczysław Grabiński.

Zamieszkaliśmy razem. Wróciłem w nocy z 10 na 11 listopada 1939 roku.

Nad ranem w tym dniu rozpoczęły się głośne aresztowania przedstawicieli polskiej inteligencji.

Była godzina 7, gdy przy drzwiach ostro zabrzmiał dzwonek. Za dzwonkiem stukanie, łomotanie. To Niemcy. Wchodzą.

— *Hier wohnt Rechtsanwalt* — Niemiec odczytuje nazwisko na kartce — *Grabinsky?*

Tak, Grabińskich jest dwóch. Niemcy każą ubrać się im obu i wyprowadzają.

Moje nazwisko wtedy nie padło. Pospiesznie wychodzę z domu i przenoszę się na wiszącą klatkę schodową zburzonego frontu kamienicy.

Po pół godziny Niemcy wracają. Jest to kontrolne sprawdzenie, czy już mecenasa Grabińskiego aresztowano.

Pani Grabińska mówi, że obu.

— *Ganz Pomade* — śmieje się Niemiec.

Mieczysław Grabiński był potem więźniem Oświęcimia, ale wojnę przeżył. Jego brat, mecenas Adam Grabiński, który był trochę ułomny, utykał, powrócił. Nie przeżył jednak wojny. Zginął w dniach warszawskiego powstania.

#### *Jeszcze raz druga połowa stycznia 1945 roku*

Z mecenasem Tomaszem Bartczakiem przeszliśmy przez Wisłę i idziemy na ulicę Wileńską, do dawnego gmachu DOKP, gdzie zaczynają pracować agendy Rządu, przenoszone stopniowo z Lublina do Warszawy, a właściwie na ten obszar, który niegdyś był Warszawą.

Dowiaduję się, że na Pradze, w mieszkaniu, które zajmuje mecenas Ryszard Henrykowski, rejestrują się ocaleni z wojennej pożogi warszawscy adwokaci. Trzeba tam pójść. Henrykowski, sprawujący w istocie rzeczy po wojnie — jako pierwszy — obowiązki dziekana, zakłada ewidencję personalną powracających kolegów. Zostają wpisani na tę listę. Znowu jestem adwokatem. W tym pierwszym dniu — pierwsze korzyści z powrotu do zawodu.

W małym mieszkaniu przy ul. Kępczej 13 mecenas Henrykowski i jego żona, p. Eleonora Henrykowska, dzisiaj bibliotekarz w naszym pokoju adwokackim, rozdają bochenki chleba, marmoladę i ułatwiają wymianę 500-złotych okupacyjnych banknotów. Zdobyli jakieś zapomogi, niosą pomoc.

Jestem adwokatem, choć zamiast teczki niosę pod pachą bochenek chleba. Jeszcze nie zapracowane honorarium — tak jak nie odpracowane tamto z 6 września za obronę sklepikarza.

#### *Maj 1945*

Jestem znowu w sądzie. Po tyloletniej przerwie. Czy będę umiał stawać, wprowadzać sprawę?

Sąd Okręgowy mieści się przy ul. Szerokiej w niewielkim prywatnym mieszkaniu. Ocalały w nim jakieś stare, gdańskie meble, wielki stół, który znakomicie pasował do dawnej jadalni, tzw. pokoju stołowego, a teraz, przykryty kawałkiem zielonego sukna, imituje stół sędziowski.

Za tym stołem trzech sędziów. Jako przewodniczący — dziekan Warszawskiej Rady Adwokackiej, mecenas Jan Nowodworski, który już w pierwszych dniach odradzania się sądownictwa polskiego oddał swe siły, wiedzę i umiejętności sędziowskim obowiązkom. Gdy okrzepło — powrócił do adwokatury.

Widok tej sali sądowej, a zwłaszcza siedzących za stołem sędziów, był niezwykły. Jeden z nich trzymał ponad głową przewodniczącego rozpostarty parasol, gdyż przez sufit śiapał wcale rześisty deszczyk. Parasol chronił przede wszystkim akta, aby nie zwilgotniały.

Ale zwilgotniały oczy mecenasa Jana Nowodworskiego, gdy przerwał posiedzenie, witając się ze mną.

Było to milczące przywitanie. Naprawdę wzruszenie nie pozwoliło nam wydożyć głosu. Sciskaliśmy sobie ręce, a potem z trudem zacząłem wprowadzać swoją sprawę.

Po kilku dniach, znów przed Sądem na ulicy Szerokiej, zjawiłem się w małym pokoiku, który był gabinetem sędziowskim. Miałem zabiegać o zmianę środka zapobiegawczego na rzecz aresztowanego szabrownika. Szaber — to było wówczas najmodniejsze przestępstwo. W gabinecie sędziego Koziół-Poklewskiego i sędziego Wesołowskiego. I znów serdeczne i gorące powitania.

Sędzia Koziół-Poklewski znał mnie jeszcze od najmłodszych moich lat. Na Uniwersytecie uczyłem się razem z jego córką Manią.

Mecenas Olgierd Missuna przypomniał w swojej książce, jak to wchodziłem po raz pierwszy w tożde na salę sądową, aby stanąć przed sędzią Koziół-Poklewskim. Sędzia spojrział wówczas na mnie i głośno powiedział: „Patrzenie państwo, jacy to g...rze już w togach chodzą!”

Teraz przywitanie było inne, musiało być inne.

— Przeżyłeś — mówił sędzia Koziół-Poklewski — przeżyłeś.

Osoba sędziego Koziół-Poklewskiego otoczona jest legendą i anegdotą. Ta, związana z pierwszym powojennym spotkaniem, jest zupełnie prawdziwa.

Zacząłem mówić o złagodzeniu środka zapobiegawczego dla mojego szabrownika. Sprawa była w referacie sędziego Wesołowskiego. Nie bardzo zgadzał się z moją argumentacją uważając, że mój klient gotów jest uciec i sprawiedliwości nie stanie się zadość. Ale sędzia Koziół-Poklewski zareplikował:

— Weźmiemy kaucję, a jak ucieknie, to i dobrze. O jednego łobuza w budującej się Polsce będzie mniej. A kaucję się skonfiskuje. Poza tym — mówił dalej — Nowogródzki wylazł z tej okropnej wojny, to on także musi z czymś zaczynać życie.

Sędzia Wesołowski dał się przekonać tymi argumentami i mego klienta zwolniono za kaucją.

Wszystkie przewidywania się sprawdziły. Szabrownik gdzieś wyparował, kaucję przelano na Skarb Państwa, a ja miałem z czymś zaczynać.

No i wszystko dobrze, jak mówi Konwicki w swej książce „Kalendarz i klepsydra”.

### *Nie mogę uderzyć*

Przechodzę przez podwórze na ulicy Wileńskiej, gdzie mieści się także Ministerstwo Sprawiedliwości. W dwuszeregu, z miotłami w rękach, ubrani w bluzy jakby aresztantki, z literą V na plecach, stoją mężczyźni pod eskortą młodego żołnierzyka z automatem w rękę.

Tyle razy w dniach klęski i poniżenia, za obozowymi drutami, w kryjówce, po upadku powstania, w głodowym półnie ślubowałem, że będę zabijał, wdeptywał w ziemię napotkanych hitlerowców. A teraz? Stoją przede mną, do niedawna bogacący się i tuczający folksdojczę, a ja nie mam siły, aby zbliżyć się do nich, uderzyć, dzielić pięścią.

### *Erfurt i Hamburg*

W maju 1969 roku zostałem powołany przez Sąd w Erfurcie jako świadek w sprawie Josepha Blöschego. Jest to oprawca, który w dniu 19 kwietnia 1943 roku eskortował mnie do bydłych wagonów idących do Majdanka. W tym samym dniu idący obok mnie mecenas Mieczysław Maślanko poszedł do Oświęcimia.

I tej drogi przez mękę opisywać nie będę.

W obozie, w kolejce Häftlingów stoję z menażką po zupe. I nagle słyszę: — To pan mecenas też tutaj?

To kucharz, więzień obozowy, jakiś mój dawny klient, nalewa mi do menażki podwójną chochlę zaczerpniętą z dna kotła, bo na dnie pływają jakieś skrawki jada.

W obozie raz jeszcze jestem adwokatem. Toczy się spór między dwoma więźniami. Jeden z nich, więzienny szewc, dostał do naprawy but z odrywającym się obcasem drugiego więźnia. Pozostawił mu ten but jakiś zmarły więzień. Pod obcasem szewc znalazł złotą monetę 20-dolarową.

I rozgorzał proces. Do kogo należy ta dwudziestka: do znalazcy, czy do posiadacza buta?

Wieczorem po apelu, w obozowym baraku, więźniowie w pasiakach utworzyli sąd i stawali jako pełnomocnicy stron. Wyrok zapadł salomonowy: po zakończeniu wojny i zmianie monety szewc odda monetę 10-dolarową właścicielowi buta.

Wyrok był wprawdzie irracjonalny, miał wszakże ten optymistyczny wydźwięk, że tworzył nadzieję przeżycia, rysował przyszłość. Prawo wśród bezprawia!

Otrzymałem wtedy jedno z największych honorariów w moim życiu: trzy kostki cukru.

Teraz w Erfurcie zeznajemy razem z kolegą Maślanką w procesie ludobójcy.

Blösche ma do tych zeznań jedną tylko uwagę: nie mogło być przy załadunku do bydłych wagonów tyle trupów, gdyż układane w przymy sięgały mu zaledwie do ramienia; a zresztą pracował tylko do obiadu.

Odpowiadam, że nie byłem buchalterem śmierci, ale tym, który jej zdołał uniknąć. Cudem.

Po kilku latach, znów po złożeniu zeznań przed Główną Komisją do Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, jadę na proces ludobójcy — Handtkiego. Tym razem do Hamburga. Towarzyszy mi żona. Lecimy polskim samolotem do Kopenhagi, stamtąd Lufthansą do Hamburga. Wytworna podróż, elegancki hotel, znakomite jedzenie. Niemcy za to płacą.

Jadę, aby opowiedzieć także o obozowym głodzie i dodatkowej chochli zupy. O zabójstwach, bestialstwie, okrucieństwie.

Rano oczekuję na rozprawę i na korytarzu sądowym pojawia się dwóch panów. — *Gut morgen* — rzucają w moją stronę. Nie poznaję żadnego z nich.

Później okaże się, że jeden z nich to Handtke, stary zniszczony człowiek, a drugi to jego szef Michelsen. Obaj odpowiadają z wolnej stopy.

Przewodniczący 9-osobowego składu sędziowskiego przypomina mi o ważności mego zeznania dodając, że jako adwokat i pisarz zdaję sobie niewątpliwie z tego sprawę. Potwierdzam. Składałem wielogodzinne zeznania.

Handtke przeczy niektórym z podawanych przeze mnie faktów. Oświadcza, że być może myłę go z innym — jak delikatnie mówi — funkcjonariuszem, Carlem Brandtem.

Jego obrońca, młody jeszcze niemiecki adwokat, zadaje mi pytania. Znam przecież tę technikę. Przytaczam więc fakty te, które dotyczą Brandta. Odróżniam ich obu.

Przewodniczący wtrąca: Tak, rzeczywiście, te fakty znamy z innego procesu.

Zwraca się do obrońcy: Czy *Herr Rechtsanwalt* ma jeszcze pytania do świadka?

Mój niemiecki kolega z pytań rezygnuje.

Wieczorem jemy z żoną kolację w hotelu, a mnie ciągle jawi się w pamięci ta usłużna dodatkowa łyżka zupy, którą siorbałem, którą dostałem, bo byłem adwokatem. Ktoś przecież o tę łyżkę został pokrzywdzony.



W Erfurcie miejscowa adwokatura urządziła dla mecenasa Maślanki i dla mnie także kolację w wytwornym hotelu. Był bankiet, przemówienia.

„Hilfe!”

W ruinach ginącej Warszawy byłem także z grupą towarzyszy w schronie, który mieścił się w podziemiach gimnazjum im. Królowej Jadwigi na placu Trzech Krzyży. Długie, nie kończące się dni w ciemności, półśnie. Wiaz do piwnicznego schronu zawałony kamieniami. To nasza osłona. Ale oto jeden z naszej grupy skrada się do wjazdu, zaczyna odgarniać kamienie. Nie może dłużej znieść tego zamknięcia, ciemności, lęku. Zaczyna krzyczeć: „Hilfe, Hilfe!”, jak gdyby w tym języku można było przywołać ratunek.

Obezwładniają go. A potem w ciemności podziemia jest sąd, sąd nad nim. Trzeba go zabić! Jego życie naraża na zagładę istnienie pozostałych 21 towarzyszy. To jest stan wyższej konieczności.

Znowu jestem adwokatem. Bronię jego prawa do życia, które toczy się w warunkach krańcowych, skrajnych, ekstremalnych.

Jest z nami lekarz. Daje oskarżonemu — tak, on jest oskarżonym — zastrzyk morfiny.

\*

Blösche w Erfurcie skazany został na karę śmierci. Wyrok wykonano. W Hamburgu Handtke — na dożywocie.

\*

Tak więc całe życie związane z Warszawą i adwokaturą. Przeżyte w Warszawie i w adwokaturze. Wszystkie dni dobre i złe. Pamięć dobrych łagodzi gorycz złych. I pamięć dobrego, serdecznego adwokackiego koleżeństwa, które pozwoliło przeżyć. I dlatego stało się możliwe danie wyrazu tym okrucynom wspomnień.

## **NOTATKI**

Było to 5 grudnia 1976 roku...

*Tego dnia w niedzielny poranek, trasą szybkiego ruchu Warszawa-Katowice liczne samochody osobowe, a także specjalny autokar zmierzały do jednego celu. Nosił on nazwę: Grzegorzewice. Przed Mszczonowem specjalne drogowskazy, wykonane chyba systemem chałupniczym, wskazywały tym, którzy byli zainteresowani celem swej podróży, jak można wśród rzadkich zabudowań po bocznej drodze i pokrytych szronem zagajników najprościej dojechać na miejsce. A tym miejscem gościnnym był należący ongiś do sławnej rodziny Kmitów pałac, przekształcony staraniem ludzi ożywionych szlachetną ideą — po dokonaniu dużego dzieła odbudowy ze zniszczeń wojennych — w Dom Pracy Twórczej Adwokatury w Grzegorzewicach. Podjąwszy dzieło uratowania cennego*